

Wstęp

Czy z tajnych służb można się śmiać? A jeżeli tak, czy da się wytyczyć granicę, za którą „w teatrze absurdu i okrucieństwa”, bo tak swoją profesję określił swego czasu były oficer amerykańskiego kontrwywiadu wojskowego, rozpoczyna się żart, groteska albo absurd? Pytanie jest bardzo na miejscu. W 2010 r. niemieccy badacze próbowali oszacować liczbę ofiar działań wywiadu wschodnioniemieckiej Stasi w RFN. Efekty? Uznano, że zebrała ona, kosztem ludzkich cierpień, *dossier* o ponad dwóch milionach obywateli Republiki Federalnej. Od 10 do 30 tys. z nich zarejestrowano jako tajnych współpracowników. To oczywiście nie wszystko. Tylko w latach 1984–1989, dzięki kontroli korespondencji, skradziono w majestacie prawa ponad 32 mln marek RFN. Jak podają niektóre źródła, dziennie przeglądano ponad 90 tys. listów¹. Były w nich pieniądze wysyłane do NRD przez krewnych z Zachodu.

Czy to wszystko? Nie. Należy jeszcze wspomnieć wsparcie dla międzynarodowego terroryzmu, podsłuchiwanie rozmów telefonicznych, upokarzające kontrole graniczne oraz strzelanie do uciekinierów. Czy ofiary „miłującej pokój NRD”, czułyby się lepiej, gdyby wiedziały, że ich prześladowcy niekiedy bywali niezbyt rozgarnięci? Z drugiej jednak strony, czy historia służb

specjalnych to tylko pozbawione człowieczeństwa dzieje moralnych upadków, zdrad, dramatów albo bohaterstwa?

Media i memuarystyka lubują się w przytaczaniu pikantnych historii opowiadanych przez byłych funkcjonariuszy wywiadu. Wiele z nich niewątpliwie godnych jest twórczości Sławomira Mrożka. Kilka utrwalił Stanisław Bareja w swoich kultowych filmach o prezesie pewnego klubu sportowego i jego cynicznym koledze z SB. Kto wie, może ów pułkownik Molibden „miał na kontakcie” tajnego współpracownika (TW) o pseudonimie „Miś”, który oczywiście nic o tym nie wiedział...

Tylko czy te historie zawsze były zabawne? Wszak Molibden, bezwzględnie walczący z przełożonymi o wpływy w MSW, nie cofa się przed próbą zabójstwa „Misia”, nie da się ukryć, karykaturalnie spartaczoną... Warto pamiętać, że te groteskowe historie szpiegowskie łączy jedno. Brak możliwości sprawdzenia i, co najważniejsze, zestawianie z faktami, których nie można uznać za komediowe bez względu na ustrój.

Z czego śmiano się zatem w kontekście „służb” w ostatnich latach? I czy przedmiot żartów był rzeczywiście zabawny? Oto wybrane przykłady: 42-letni oficer Stasi, który 18 lat spędził w resorcie, założył – o czym doniesiono w 2013 r. –teczki personalne także swojej rodzinie i dzieciom. Wieczorne rozmowy z żoną zamienił w przesłuchania, weryfikując raporty o codziennym „prowadzeniu się” małżonki². Co do rodziny, to w teje Stasi córka jednego z oficerów doniosła na własnego ojca. Powód? Zamiar ucieczki do RFN tego pierwszego. Efekty? Egzekucja taty oraz ślub córki z oficerem prowadzącym sprawę domniemanej ucieczki. A jak brzmiał jej kryptonim? „Lump”³.

Groteska nie była obca niemieckim tajnym służbom także po zjednoczeniu. W 2012 r. doniesiono, że na 50 pracowników jednego z federalnych Urzędów Ochrony Konstytucji żaden nie

legitymował się kierunkowym wykształceniem niezbędnym do wykonywania obowiązków. O agentach plotkowano w kafejkach. Konspiracja spotkań nie istniała. Narzekano, że „werbunek skina to była katastrofa”. Ten bowiem podczas rozmowy z oficerem prowadzącym od razu starał się upić, by potem twierdzić, że nic nie pamięta.

Wypowiadający przytaczane słowa szef wspomnianego urzędu opisał moment otrzymania nominacji. Była godzina 23.00. Był pijany. Ktoś przed domem podał mu kopertę, która przeleżała w płaszczu nominata do rana⁴. Śmieszne? W takim razie trzeba przypomnieć, że powyższe zwroty pochodzą z dokumentacji śledczej prowadzonej po tym, jak ów urząd nie zdołał zapobiec najgłośniejszej serii motywowanych politycznie zabójstw w historii zjednoczonych Niemiec.

Czy inne, bardziej historyczne przykłady przybliżają się do estetyki powyższych akapitów? Proszę ocenić samemu. Norman Lewis, w 1944 r. oficer amerykańskiego kontrwywiadu wojskowego w Neapolu, zapisał w swoim, opublikowanym po polsku siedemdziesiąt lat później, pamiętniku:

Bardzo często zamiast nazwiska podejrzanych otrzymywaliśmy takie wskazówki, jak: średniego wzrostu, uderzająco brzydki, a w jednym przypadku: znany z obsesyjnego lęku przed kotami. Musieliśmy umieścić w [spisie podejrzanych – T.J.] delikwenta, o którym wiadomo tyle, że ma na lewej piersi trzy sutki. Inny rysopis ograniczał się do informacji, że podejrzany ma twarz hipokryty. [...]

Jak dotąd nic nie przebiło meldunku o nielegalnym użyciu teleskopu. Dotyczył fragmentu przechwyconej rozmowy między kochankami, w której kobieta powiedziała: Dzisiaj się nie spotkamy, bo wraca mąż, ale będę Cię podziwiała przez teleskop miłości⁵.

Niestety nie wiadomo, kto zapłacił za teleskop. Wiadomo jednak, że angielscy sojusznicy Lewisa, funkcjonariusze brytyjskiej

MI-5, której wyjściowy potencjał kadr w 1910 r. ledwo dorównywał rezydenturze Stasi w Warszawie w 1980 r., musieli sami opłacać wszystkie swoje wydatki, z rachunkami za telefony biurowe włącznie⁶.

Jak na tle służb państw anglosaskich prezentowało się w „historii mówionej” rodzime SB? Zaczniemy od opisu elity, czyli wywiadu:

Naczelnik Wydziału IV (wywiad amerykański) – sam nieuk – nie-nawidził ludzi inteligentnych i wykształconych. Gdy otrzymywał korespondencję z rezydentury w USA, wołał sekretarza partii komitetu wydziałowego, któremu ufał bezgranicznie, i mówił: Przetłumacz mi, do kurwy nędzy (to był jego ulubiony zwrot), te łacińskie słowa, co ten debil wypisuje.

A tam były takie zwroty i słowa jak *par excellence, sui generis, kurtuazja*⁷.

Nie wszyscy funkcjonariusze przepadali za słowem pisany. Jeden z szefów wywiadu PRL zatwierdzał na przykład programy szkoleń językowych dla podchorążych⁸. Tyle tylko, że sam żadnym językiem obcym nie władał. Część kadry, miast słów, wołała obraz: Bartłomiej Sienkiewicz, były szef MSW i pracownik UOP, wspominał własne aresztowanie przez SB:

Otóż jedziemy z tymi esbekami do Mostowskich [ówczesna siedziba SB w Warszawie – T.J.], a oni ucinają sobie pogaduchę. Jeden mówi do drugiego. „Ty słuchaj, kupże se wideo”. Ja wtedy ledwo wiedziałem, co to jest wideo, czyli magnetowid. A ten drugi: „Na chuj mi wideo?!”. „No, nagrzasz se jak żonę tego... i będziesz miał na starość na co popatrzeć”⁹.

Rzeczywiście, było na co popatrzeć, ale jedynie w aktach. W piśmie do szefa Stasi Ericha Mielkego z prośbą o pomoc w wyjaśnieniu zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki gen. Czesław Kiszczak wspominał o jednej z hipotez mordu. Według niego

winni [zabójstwa – T.J.] działali na bezpośrednie lub pośrednie zlecenie tajnych służb krajów kapitalistycznych...¹⁰ Stasi, oceniając przy okazji moralną postawę żony nadawcy pisma, konstatowała z oburzeniem, że miała się ona charakteryzować „drobnomieszczańskim trybem życia” i chodzić do kościoła, czemu mąż miał nie przeciwdziałać¹¹. Niezależnie od zabójstw i szpiegowania się nawzajem oba resorty prowadziły, gdzieś w tle, ożywiony handel. MSW kupowało od Stasi tekstylia i wino, oferując w zamian konserwy owocowo-warzywne, marynowane grzybki oraz mięso¹².

Na temat funkcjonariuszy tego samego resortu Pomarańczowa Alternatywa wymyślała, już pod koniec lat 80. XX w., przesmiewcze hasła: *Armaty zamiast mięsa. Milicjant w każdym domu, Wspieramy was MO-ralnie, czy też Pomścimy Wujka i Ciocię*¹³. Rodzinom ofiar masakry w kopalni „Wujek” chyba jednak nie było do śmiechu. Prześladowani przez SB nie doceniliby też przysług wyświadcanych przez służby, potrafiące przegrać na użytek organizatorów zaginione fragmenty nagrań z festiwalu w Jarocinie albo podpowiadać w trakcie występów tekst artystom Piwnicy pod Baranami, jeżeli któryś z nich zapomniał na scenie swojej kwestii¹⁴. Zignorowaliby też karykaturalne raporty rezerwy MO dotyczące m.in. *nowopowstałej organizacji młodzieżowej PUNK*, która namawiała, by młodzież nie chodziła na filmy radzieckie¹⁵.

Co zatem warto przypomnieć, prezentując Czytelnikowi subiektywny wybór 180 przypadków z wywiadowczej codzienności absurdów, jakie pojawiały się w relacjach służb specjalnych PRL i NRD. Po pierwsze, nie stanowią one autorytatywnej ani tym bardziej alternatywnej historii obu resortów. Są jej ułamkiem. Istniejącym, ale nie reprezentatywnym. Po wtóre, mimo niezaprzeczalnego komizmu części z nich, odtwarzane zdarzenia nie stanowią usprawiedliwienia dla innych, mniej zabawnych zachowań

funkcjonariuszy Stasi/MSW. Po trzecie, opis „szpiegowskiej groteski” ma na celu przede wszystkim uzupełnienie socjologicznego obrazu społeczeństwa PRL i NRD, odbitego w krzywym (?) zwierciadle biurokracji tajnej służby. A ten obraz nie zawsze musiał być poważny. Z tego względu znalazły się tu przykłady ilustrujące podstawowe pojęcia i metody działania wywiadu i kontrwywiadu. Bez nich bowiem zrozumienie kontekstu czy groteski niektórych dokumentów byłoby znacznie utrudnione. Co zaś najważniejsze, złośliwe komentarze Autora zamieszczone w tekście nie oznaczają kpiny z cierpienia ofiar. Dlatego też w publikowanych archiwaliach usunięto wszystkie szczegóły dotyczące pokrzywdzonych. Zachowano w nich oryginalną pisownię, co oznacza nie tylko błędy interpunkcyjne lub ortograficzne, ale przede wszystkim specyficzną nowomowę, typową dla tajnych służb. Tłumaczenia niemieckich dokumentów zostały dokonane w całości przez Autora. Ingerencje zaznaczono nawiasem kwadratowym. Choć poszczególne hasła wymieniono w porządku alfabetycznym, każde z nich stanowi zamkniętą opowieść. Lekturę można zatem zacząć – lub skończyć – w dowolnym miejscu.

Idea niniejszego zbioru powstała przy okazji prac nad rozprawą habilitacyjną Autora, poświęconą bynajmniej niegroteskowej analizie relacji służb specjalnych NRD i PRL¹⁶. Cały czas powracało wtedy postawione na początku pytanie, czy można śmiać się ze służb. Tak. Trzeba tylko zachować właściwe proporcje. I pamiętać, że materia, która wywołuje ów śmiech, jest ludzkie życie.

Zapraszam zatem do podróży do tajnego świata. Świata, gdzie walki agentów mieszają się z chińskimi spinaczami, „tuszą szczupłą”, czterema tonami mąki i znerwicowanym dyplomata. Wzruszony minister też się znajdzie. Być może wywołają oni uśmiech na twarzy Czytelnika, który jednak nie powinien zapomnieć, że nie trzyma w ręku wesołej książki.

Dziękuję Dyrekcji i Pracownikom obu archiwów, z których pochodzą zaprezentowane dokumenty: Instytutowi Pamięci Narodowej oraz Archiwum Pełnomocnika Rządu RFN d/s Akt byłej Służby Bezpieczeństwa NRD. Dziękuję memu Pracodawcy – Instytutowi Badań nad Totalitaryzmem im. H. Arendt na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie – za możliwość przygotowania niniejszej książki, bardziej popularnej niż naukowej. Dziękuję też Wydawnictwom Uniwersytetu Warszawskiego za ponadprzeciętną tolerancję dla poczucia humoru Autora, jak i Andrzejowi Mleczce – za ilustrację wykorzystaną na okładce. Ponieważ nie rezygnowałem z ironii, komentując mniej lub bardziej poważne dokumenty, wypada, abym zaczął od drobnej prezentacji samego siebie. Oczywiście w resortowym kontekście.

Autor

Urodziłem się w Gdańsku. Data mego przyjścia na świat, pomijając oczywiście rok, odpowiada tej, której używał jeden z oficerów wywiadu PRL, o najdłuższym stażu służby. Pracował przed i po 1989 r. Odpowiadał m.in. za wydział „nielegalów” – agentów pracujących za granicą i używających fikcyjnej tożsamości. Dodajmy, że akta Stasi podają cztery warianty daty jego urodzin. Pomijam już ten, który przechowuje archiwum IPN. W literaturze, jeśli nie występuje pod własnym (?) nazwiskiem, nieoficjalny kronikarz wywiadu MSW nadaje mu pseudonim „Rybitwa”.

Wychowałem się na ulicy imienia ubeka. Był jednym z czterech. Wszyscy zostali zlinczowani w dzielnicy, w której mieszkałem. Mniejsza nawet, za co. Na specjalnym skwerku mieli pamiątkowy obelisk. Stoi nadal, tylko postumencik nieco się zmienił. Miast funkcjonariuszy upamiętnia teraz księdza. Po 1989 r.

nazwiska owych ubeków zniknęły też z tabliczek opisujących przyległe ulice. Pojawił się na nich nazwiska duchownych albo strajkujących dokerów.

Jeżeli ktoś chciałby wyobrazić sobie atmosferę tego miejsca, niech znajdzie książkę byłego oficera brytyjskiego wywiadu. Moją ulicę opisał genialnie. Zgadzał się każdy szczegół. Brakowało tylko czterdziestu melin. Co robił ów Brytyjczyk w Gdańsku? Twierdził, pewnie nieco konfabulując, że najpierw miejscowy kontrwywiad pogruchotał mu kości, a potem przesłuchujący go jegomość zaproponował swe usługi. Brytyjski oficer rozpoznał oferenta po 1989 r. Był zaangażowany w pierwszą kampanię prezydencką III RP.

Moja ulica jest wciąż taka sama. Okna tylko nieco bardziej plastikowe, tynki bardziej szare. Czasem trafi się lepszy samochód albo antena satelitarna. Przepite twarze rozglądają się po niezmiennionych od lat podwórkach. Amatorzy taniego wina nie wiedzą jednak, co to melina. Rocznik już nie ten. Oni mają swoją Żabkę. I nuć pod nosem *Jesteś Bogiem* Paktofoniki.

Gdy wędrowałem do szkoły, niegdyś imienia Gagarina¹⁷, mijałem jednostkę wojskową. Kiedyś rozmawiałem o niej z pewnym pułkownikiem MSW. Przypominaliśmy sobie szczegóły. On ze służby, ja z dzieciństwa. Facet w sekundę odmłodził o jakieś 20 lat. Służący tam oficerowie ścigali uciekinierów z Polski i NRD. Sami musieli jednak uważać, aby nie dostać w głowę czymś twardym, zrzuconym na nich z wielkiego bloku obok.

W mojej podstawówce na głowę spadał tylko Lenin. Spadał regularnie z dekoracji przygotowanej na akademię z okazji rewolucji październikowej. Gdy ktoś miał pecha i musiał dukać – czytaj: deklamować – stenogram z rewolucji, tłumek znudzonych uczniów zawsze oferował podpowiedzi. Jeśli delikwent zapomniał np. godziny siódmej, tłumek wołał: *tydzień na działce*. Wtedy o tej porze była to jedyna audycja w jedynym kanale TV.

A blok obok? Był wielki i falisty. Wszyscy musieliśmy obok niego przechodzić. Moi rodzice mieli w nim znajomych. Nawet raz czy dwa poszedłem tam z nimi w odwiedziny. Znajomi nie mieli jednak zwykłego małego mieszkania, ze zwykłymi, krzywymi ścianami. Prowadzili jeden z kluczowych punktów przerzutu nielegalnej literatury z Zachodu. Kontrolował go wywiad MSW. Oficer zlecający inwigilację – dziś znany pisarz – kilka dekad później uprzejmie się ze mną przywitał. Podpisał mi nawet książkę. Trochę urosłem, więc pewnie mnie nie poznał.

Żeby urosnąć biegaliśmy na 1000 m w ogródku jordanowskim koło podstawówki. Biegaliśmy też do pobliskiej Baltony – to taki sklep dla marynarzy. Sprzedawano tam za dolary albo specjalne bony. Jeśli nas nie przegoniono, oglądaliśmy zabawki i komputery. Mijaliśmy też cinkciarzy, którzy handlowali walutą pod sklepem albo w legendarnej knajpie obok szkoły – Wikingu. Kilku z nich miało jeszcze jeden etat. W MSW. Później, już po upadku komuny, niektórzy z nich grali w kościelnych orkiestrach.

Baltony już nie ma. Wikinga z jego grubymi, stale zaciągniętymi kotarami, też nie. Jest ośrodek pomocy społecznej. I Biedronka. A ogródek jordanowski? Zanim się do niego doszło, mijało się wiecznie śmierdzący rybny, w którym nie było ryb. I zajeżdżnię tramwajową. To tam, w jednej z rozpadających się kamienic, mozolnie drukował opozycyjne pisemka przyszły szef Urzędu Ochrony Państwa i Agencji Wywiadu. Po drugiej stronie ogródka, bliżej kanałów portowych, wynajął sobie wtedy lokum pewien przybysz z NRD. Pokoik u milicjanta. Przybysz był agentem Stasi. Szkoda tylko, że w NRD nikt nie powiedział mu, że w Polsce milicjant był zawsze na służbie. Nam za to nikt nie wspomniał, że ogródek to były ewangelicki cmentarz. Zawsze wszystko tam pięknie kwitło, niemniej trochę mogilek żeśmy niechcący przydeptali. Agentu Stasi od przyszłego szefa szpiegów dzieliło zaś około 500 metrów. Może nawet mniej.

Jegomością od milicjanta obsługiwał konsulat NRD – czyli Stasi. Tak samo jak kolejnego agenta – pracującego naprzeciwko konsulatu, czyli na gdańskiej Politechnice. Konsulat mijalem, jeżdżąc do ogólniaka. Politechnikę też udało mi się kiedyś zaocznie skończyć.

Naukowiec z NRD donosił co nieco o opozycji, niemniej Stasi myślała o przetrzuceniu go na Zachód. Tym bardziej, że komendant gdańskiej bezpieki „towarzyszy z NRD” niespecjalnie lubił. Był jeszcze inny naukowiec z NRD. Tego nawet SB zgodziła się aresztować „na niby”. To krewny mego pierwszego szefa w Niemczech – *nomen omen* znanego dysydenta.

Warto jeszcze wspomnieć o samych studiach: magisterskich, jak by nie było. Wykłady i ćwiczenia odbywały się sopockiej willi – największym przedwojennym burdelu w mieście. Jeden z profesorów nazwał wprawdzie mój kierunek nie burdelem, ale dramatem, niemniej ja złego słowa o nim nie powiem. Sto metrów do plaży, wszystkie służby mundurowe na zaocznych. Wojskowi i cywile. No i profesorowie z Warszawy. Jeden z nich zasugerował mi kiedyś „Zamczysko”. Tego, który podpowiedział enerdownom, że jeden z prezesów TV za czasów PRL miał willę w Afryce, niestety nie dane mi było poznać osobiście.

A potem? Potem zdążyłem pracować w jednej z najważniejszych byłych PRL-owskich instytucji, będącej przykrywką dla służb specjalnych MSW. Poznać kuchnię polskiej polityki, jeszcze zanim pewien kelner wpadł (?) na pomysł, aby ją podsłuchiwać. Spędziłem ponadto kilka lat za granicą, czytając później w IPN opowieści o losach dyplomatów, których spotykałem na swojej drodze. Udało mi się przy okazji obronić doktorat, zakochać się i przekląć Warszawę. Zostawić w niej wspomnienia. No i pewnego dnia wyjechać. Świadomie, z biletem w jedną stronę. I chyba w nieco inny sposób niż mój poprzednik. Nigdy go nie poznałem.

Pewnego dnia wyszedł z pracy i już nie wrócił. Wyjeżdżając ze stolicy, doskonale rozumiałem, dlaczego. O werbunkach, pisanu donosów na kolegów, pokazywaniu ich pracownikom przez przełożonych i jeszcze kilku innych rzeczach dowiedziałem się już na emigracji, wiele lat później.

Pewnego dnia spotkałem Ich: Brytyjczyków, Amerykanów, Izraelczyków, Holendrów, Chorwatów, Niemców. Polaków też, oczywiście. Pamiętam jednego z nich. Nieprawdopodobną angielszczyzną tłumaczył mi meandry obrony doktoratu i to, z kim i ile trzeba było wypić, aby go obronić. Nie był Anglikiem. A o jego doświadczeniach ze służby w oddziałach antyterrorystycznych uczono i uczy się do dziś. Był też Włoch, który kiedyś próbował dosłownie wrywać mi z rąk mój referat. Załóżmy, że mu się spodobał...

To o nich jest ta książka. Ale przede wszystkim o tym, że granica między groteską a tragedią w tajnym świecie nie istnieje. Same tragedie nie są przez to mniejsze, a groteska bardziej zabawna.

Kiedyś były oficer kontrwywiadu MSW prosił mnie, abym nie wierzył wszystkiemu, co znajdę w dokumentach IPN. A zatem kto chce, niech wierzy. Zapraszam do środka.

300 mil do Nieba

Tym razem nie będzie o uhonorowanym wieloma nagrodami tytule Macieja Dejczerza o brawurowej ucieczce na Zachód dwóch nastolatków. Będzie jednak, tak jak w filmie, o wolności i o przedsionku do niej. Tym przedsionkiem były obozy dla uchodźców. W Niemczech i w Austrii. Opisane przez Julię Frank były *ziemią niczyją pomiędzy Wschodem i Zachodem, przymusowym kolektywem u progu nowego świata, który (na razie jeszcze) zamyka przed nimi drzwi*¹⁸.